NR. 4 NIEDZIELA, 16 LUTEGO 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



NA ŚLIZGAWCE

Na sadzawce lód śliziutki.
Dalej dzieci wkładać butki!
Bierzcie sanki i łyżewki
i hop! na lód dla rozgrzewki.

Coraz gładziej, coraz prędzej
na łyżewkach Stacha pędzi.
Nie dogoni jej Stefanek,
choć pożyczył sobie sanek!

Nie przegoni jej i Jerzy,
bo... ryms! klap! i plackiem leży...
Ślizgaweczka to, aż miło!
oj, wesoło wszystkim było!

Ina.

PRZYGODA KRASNALKA

O-li! o la! o la la!
Spotkała przygoda krasnala:
Chciał udawać narciarza,
no i co się przydarza?
Ugrzązł w śniegu nieboże,
że się ruszyć nie może..
O la, o la, o la la!
Poratujcie krasn[illegible]

S.



Pomóżmy głodnym ptakom



Stasiek spóźnił się na zbiórkę. Nie mógł się oderwać od pracy, musiał skończyć i dlatego spóźnił się. Przyniósł nawet swoją robotę, by inni zobaczyli i pomogli Staśkowi w jego zamysłach. Po zbiórce opowie wszystko dokładnie, teraz: uwaga! Ale chłopcy chcieli wiedzieć zaraz, a że i komendant się zgodził, Stasiek opowiedział o czem myślał i co robił.

Ptaków mu żal. Małe to i bezbronne, a miłe i wesołe i cieszy ludzi. Przytem ptaki są pożyteczne...

„Ho! ho! wykład przyrody!" — przerwał Mietek, a Józiek zaczął recytować jak w szkole:

„Ptaki dzielimy na... zapomniałem panie profesorze".

Stasiek nie dał się jednak zbić z tropu i cignął dalej, jakby nigdy nic.

„Czytałem, że ptaków jest coraz mniej. Giną nietylko z powodu drapieżnych ptaków i kotów, ale i z powodu głodu w zimie. I pomyślałem, że możnaby im ulżyć, przynajmniej o ile chodzi o głód. Trzeba by je zaopatrywać w jedzenie, ale tak, by się nie psuło, nie rozmakało na deszczu i śniegu. Zbudowałem więc taki domek".

I Stasiek rozwinął pakunek, który przyniósł z sobą.

Domeczek był zgrabny, podobny do chaty wiejskiej, tylko miał dużo otworów.

„Ptaki mogą tu wygodnie wchodzić i wychodzić, a daszek będzie chronił pożywienie przed deszczem".

„Daszek musi być większy" — odezwał się Bolek, oglądając dokładnie domek. — „Powinien być tak wielki, by osłaniał boczne ściany, inaczej deszcz będzie zaciekał z boku".

Bolek ogromnie lubił majstrować i był gotów zaraz zabrać się do pracy.

I innym chłopcom podobał się bardzo pomysł Staśka. Postanowili pomagać ptakom w ciężkich czasach mrozu i głodu. To wcale nie trudno. Rozmieścić dużo takich domków, a pożywienie da każdy chętnie. I tak dają, ale dużo przepada na deszczu. Zachęcą również i inne gromady harcerskie, by budowały domki na pożywienie dla ptaków.

Może kto zresztą wymyśli inny, lepszy sposób?

Czy alkohol grzeje?

Podczas zimy czytamy nieraz w gazetach w rubryce nieszczęśliwych wypadków:

„Znaleziono zmarzniętego mężczyznę. Wracał z restauracji. Zmogło go—widać—w drodze zmęczenie, usiadł, by wypocząć i zamarzł".

W kilku tych zwykłych słowach leży ciężkie oskarżenie alkoholu.

Mówi się przecież, głosi jako wielką zaletę, że alkohol grzeje. Skoro więc ma się przed sobą drogę w mroźną noc zimową, dobrze zrobi, gdy człowiek na rozgrzewkę wypije parę kieliszków. Nie dużo, kilka, ziąb taki!

Tak! teraz dobrze! Można puścić się w drogę.

Alkohol poczyna działać. Wywołuje

zmęczenie. Ławka, pień ściętego drzewa, kupa kamieni nęcą, by wypocząć chwilę. Chwileczkę. Zimna nie czuje, tylko zmęczenie. Siada więc „na chwilkę" i nie wstaje nigdy.

Alkohol zrobił swoje. Sparaliżował jakby wolę, która nie mogła opanować zmęczenia, wywołanego właśnie alkoholem. Chwilowy wypoczynek przechodzi w sen. Podróżny nie wie nawet jak to się staje, że usypia.

A noc jest mroźna, ciało traci ciepło, ale oszołomiony alkoholem człowiek nie czuje zimna ani bólu. Sen przechodzi w lekkie omdlenie. Człowiek oddycha coraz słabiej i słabiej, a rano leży zimny i sztywny na białym całunie śniegu.

Temperatura nie musi nawet być poniżej zera, by stracić życie w podobny sposób. Często podróżny nie zamarza, tylko umiera z powodu przeziębienia. Skoro bowiem temperatura naszego ciała spada do 27 st., człowiek nie wraca już do życia.



„Alkohol grzeje!" — oto jedno z wielu kłamstw, wymyślonych przez wrogów klasy robotniczej.



Drugie prawo Czerwonego Harcerza nakazuje:

Szacunkiem otaczać pracę i walczyć o jej wyzwolenie.

Letni obóz Czerwonych Harcerzy w Niemczech będzie w tym roku liczył 10.000 chłopców. Harcerzy jest w Niemczech ponad 20.000, czyli co drugi zorganizowany harcerz będzie na obozie.

Od Was zależy, by i Polska mogła się poszczycić taką liczbą zorganizowanych Czerwonych Harcerzy i by jaknajwięcej harcerzy mogło w lecie opuścić miasto i zakosztować wolnego, pełnego urozmaiceń i przygód życia w obozie harcerskim

Zagraniczni goście

W ubiegłą niedzielę Młodzież Robotnicza Warszawy, zorganizowana w T.U.R. gościła w Warszawie towarzyszy-braci z zagranicy. Przybyli przedstawiciele Młodzieży Robotniczej z Austrji, Czechosłowacji, Niemiec, Belgji, Danji, Holandji i in.

Socjaliści tworzą na całym świecie jakby jedną rodzinę, do jednego bowiem dążą celu. Choć dzielą ich wielkie przestrzenie ziemi, zjeżdżają się co pewien czas przedstawiciele socjalistów wszyst-

kich krajów, by zacieśnić węzły przyjaźni, wypowiedzieć się i naradzić, jak postępować, by zwalczyć zło i krzywdę na świecie.

Tylko wspólny wysiłek wszystkich pokrzywdzonych na całym świecie, bez względu na to w jakim mieszkają kraju i jakim mówią językiem, zmoże krzywdę.

Jednakowa jest bowiem krzywda na całym świecie, a zmoże ją tylko socjalizm. I oto dlaczego socjaliści wzywają: **„Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!"**

SKALECZYŁ SIĘ...



Franuś skaleczył się w palec. Rana nie jest — coprawda — zbyt głęboka, krwawi jednak silnie. Krople krwi, zrazu powoli, potem szybko jedna za drugą padają na podłogę.

Gdyby Franuś miał w tej chwili mikroskop i przyjrzał się kropelce krwi, zobaczyłby że nie jest jednolicie czerwona, jak się wydaje, lecz składa się z żółto-czerwonych krążków, pomiędzy któremi widać tu i owdzie nieco większe kulki.

Czerwone krążki są czerwonemi ciałkami krwi i jest ich bardzo dużo. Kropla krwi wielkości dużej główki od szpilki — 1 mm^3— zawiera cztery i pół miljonów czerwonych ciałek krwi. Wielkość czerwonego ciałka krwi w człowieku wynosi 0.007 mm. Tysiąc czerwonych ciałek krwi, ułożonych jedno obok drugiego utworzy łańcuch długości 7 mm.

Prócz powyższych istnieją jeszcze w krwi białe ciałka. Są to maleńkie kuleczki, których 10 — 20 tysięcy przypada na jeden milimetr sześcienny krwi.

O tem, że czerwone ciałka krwi wnoszą tlen do organizmu, wiedzą nawet dzieci z pierwszego oddziału. W płucach nabierają one tlenu, poczem płyną jak małe czółenka do poszczególnych komórek ciała. Tu oddają tlen, otrzymując wzamian kwas węglowy, z którym znów dążą do płuc, by go tam na tlen wymienić.

Wpłucach właśnie krew się odświeża i nabiera żywotnej siły, poczem raźno wraca z powrotem do serca. Stąd żyłami rozchodzi się po całem ciele.

A białe ciałka krwi? Te nie mają wielkiego znaczenia. Pomówimy o nich innym razem.

NOWY CUKIER

Na szerokim świecie toczy się teraz walka o cukier.

Do niedawna, aż do czasów bezpośrednio po wojnie, istniał prawie wyłącznie cukier, wyrabiany z buraków. Teraz udało się w krajach o gorącym klimacie wyhodować trzcinę cukrową, o bardzo wielkiej wydatności cukru. Trzcina ta stanowi poważną konkurencję dla buraków i tylko wysokie cło, nakładane w Europie na obcy cukier, chroni buraczany cukier.

W roku 1926 chemik Bergius wyprodukował cukier z drzewa.

Byłoby dobrze, gdyby cukier potaniał! Ale czy do tego wystarczą **tylko** wynalazki i lepiej uprawiane rośliny?

BIAŁE KOTY ZIMY

— A teraz, moje dziewczynki... — panna Józefa wolno zamyka sztywne, czarne skrzydliska klasowego dziennika, kryjące w sobie niepokojącą tajemnicę stopni, — ...teraz moje dziewczynki — powtarza — powiem wam coś...

— Co? co? co? — zaszeleszczą po ławkach szybko zatrzaskujące się książki.

— Co? co? co? — wtórują im dziewczynki.

— ...coś bardzo miłego — uśmiecha się panna Józefa i mówi dalej, ale tak wolniutko, jakby z trudem odwijała papierek z lepkiego cukierka: — W niedzielę, zaraz po mszy szkolnej, pójdziemy sobie do lasku na wycieczkę.

Na te słowa zatrzepotał nad ławkami las rąk, znagła w górę wyrzuconych jak długie, cienkie wykrzykniki, i dopieroż się rozpoczęło radosne klaskanie:

— Na wycieczkę, na wycieczkę!!! — Panna Józefa uciszając stuknęła w katedrę sztywno zlepionemi skrzydłami dziennika:

— Jeszcze nie skończyłam, dziewczynki. — Więc klaskanie umilkło.

— Wycieczka nie jest obowiązkowa. Pójdą te, które będą miały ochotę. Oczywiście za zezwoleniem rodziców, ale tego wam chyba już mówić nie potrzebuję. Skończyłam.

Więc klaskanie i okrzyki wybuchy na nowo.

Wtem w gwar ten i hałas wpadł głos dzwonka, ale nikt go nie słyszał. Dziewczęta obstąpiły tłumnie katedrę zasypując pannę Józefę pytaniami i podziękowaniami, że ledwie się ku drzwiom przepchnąć mogła.

A już gderliwy, stary dzwonek niecierpliwił się coraz bliżej, nie mogąc widocznie zrozumieć tego, że któraś klasa, wbrew zwyczajowi i własnym interesom nie kwapi się na jego wezwanie. Dopiero, gdy jak rozsierdzony indyk zabulgotał w samych drzwiach porwały się spłoszone dziewczęta ku wyjściu.

Ale o dziwo, miast jak zwykle rozproszyć się po podwórzu, zbiły się znów w gromadkę, nie myśląc widocznie o „gonionym" czy „lisie".

Dzwonek łysnął ku nim niechętnie metalową łysiną i mruknąwszy coś woźnemu cofnął się z powrotem na korytarz.

Dziewczynki udały, że nie widzą owych dąsów dzwonka. Co im tam? Ważniejsze przecież mają sprawy. Wycieczka! Naradzić się trzeba, rozpatrzeć jak, dokąd i po co?

— Ogromnie się cieszą — zwierzała się Elżbieta swej przyjaciółce Heli.

— Z czego?

— Z wycieczki Helu! z wycieczki!

Hela z powagą poprawiła obsuwające się na kark warkocze, a potem dopiero wzruszyła ramionami:

— To ci się dziwie...

— Dlaczego? — zdumiała się Elżbietka.

— Bo i cóż nadzwyczajnego taka wycieczka? ot, zwykłe łażenie po lesie, po lesie, który doskonale znamy, i o którym zdawna wiemy, że nie ma w nim nic ciekawego...

— Eee.. zawsze może się coś znaleźć... — staje Elżbietka w obronie lasu, ale staje nieśmiało, bo Hela jest starsza i „zawsze wie co mówi", tak przynajmniej utrzymuje ona sama.

— Cóż się może znaleźć? grzyb, kwiatek okwitający, wypierzona wrona... bo co innego? Chcesz to sobie idź. Ja ani myślę.

— A co ty będziesz przez ten czas robiła?

— Hm, nie wiem jeszcze... znajdę sobie coś.. Zresztą, powiem ci: mam nową książkę z bajkami!

— Naprawdę Helu? naprawdę?

— Mówię ci przecież. Będę sobie czytać bajki.

(C. d. n.).

E. Grudzińska.



Karakol — Bistekol

Z BAJEK FLAMANDZKICH.

(Ciąg dalszy).

XII.

Z zającem w ręku szedł kucharz przez ulicę. Za nim kroczył szereg kuchcików. Jedni nieśli pieczyste, inni pasztet, inni kapłona, pierniki i t. p.

Lew i niedźwiedź zamykali orszak.

Wtem lew poczuł pragnienie, wypił więc butelkę wina i zaczął kręcić nogami w różne strony. Mieszkańcy miasta patrzyli z okien na tę procesję i zanosili się ze śmiechu.

Niedźwiedź nie mógł wytrzymać na widok słodkich ciastek i zajadał żarłocznie. Wywołało to wybuch śmiechu i okrzyki radości widzów.

— Dziś wielkie święto — rzekł niedźwiedź — O! ile gapiów w oknach.

Chwycił garść pomarańcz i cisnął w jednego z gapiów.

— Na niedźwiedzia! — zabrzmiało w powietrzu i z otwartych okien posypał się grad pomarańcz. Misio był bardzo zadowolony. Chwytał pomarańcze i tuzinami zjadał w oczach gapiów.

Kosz był jednak pełen pomarańcz — tyle bowiem rzucali.

Firene Simolle był przerażony na widok wszystkich potraw.

Zając zeskoczył z rąk kucharza na ręce Karakola.

— Widziałeś księżniczkę? — spytał cicho.

— W jej pokoju, panie.

— Jak wyglądała?

— Była smutna. Potem poznała mnie i oczy jej zajaśniały.

Karakol uspokoił się, prosił kucharza by podziękował księżniczce i zwrócił się do Firene.

— Mamy nietylko pieczyste, ale cały obiad barona. Siadaj, uraczymy się.

Było samo południe, więc wszyscy usiedli i dobrze sobie podjedli.

— Najadłem się, napiłem, teraz pójdę do pałacu prosić o rękę księżniczki.

— Tego już zadużo — zawołał Firene. — Księżniczka nie wyjdzie za takiego garbusa. Co ty sobie myślisz?

— A dlaczego wychodzi za Bistekola?

— Więc tembardziej nie może wyjść za ciebie.

— Może zmieni swój zamiar — odpowiedział garbus. — Mam na to sposób.

Garbus wyjął z kieszeni chusteczkę księżniczki.

— Co pomoże chusteczka? Wpuszczą cię jak psa do kościoła.

XIII.

W pałacu tymczasem odbywały się zaręczyny. Wszyscy siedzieli przy ogromnym stole. Była wielka uroczystość. Bistekol siedział obok pięknej Eglantiny.

Jak ślimak koło róży.

Rozmowa przy stole była nudna. Baron nie był zadowolony z narzeczonego córki. Kochał ją bardzo.

— Co to za zwierzęta przychodziły dziś do ciebie? — zapytał.

— Przychodziły z rozkazu swego pana zobaczyć się ze mną.

— A znasz ich pana?

— Znam i radzę, byś i ty poznał. Zaproś go na kufel piwa, a poznasz. Nie będziesz żałować.

— O jakich to zwierzętach rozmawiacie? spytał Bistekol.

— Dowie się pan później — odpowiedziała.

— Tu jest jakaś tajemnica — pomyślał baron. — Trzeba wysłać do hotelu karetę.

Karakol pokazywał właśnie Firenowi chusteczkę. W tym czasie zajechała kareta.

— Widzisz — powiedział garbus — baron przysyła po mnie karetę. Narzeczony jego córki może tylko w karetach jeździć.

Wsiadł do karety, a zwierzętom swoim rozkazał iść za sobą.

Baron wyczekiwał i ciągle spoglądał na ulicę.

— Jak go przyjąć? — spytał córkę.

— Spotkać przy wejściu — odpowiedziała — nie będziesz tego żałował.

Baron spotkał Karakola bardzo uroczyście i równie uroczyście wprowadził go ze zwierzętami do salonu i posadził przy stole naprzeciwko córki. Zwierzęta usiadły wokoło stołu.

Bistekol szczękał zębami. Poznał odrazu nędzarza-garbusa.

— Jak mógł on przywrócić sobie

życie — myślał ciągle. — Przecież odrąbałem mu głowę.

— Czegóż pan drży? — zwróciła się księżniczka do Bistekola.

— Tak, pan nie jest podobny do szczęśliwego narzeczonego — dodał baron. — Czyżby pan dostał febry na widok tych zwierząt?

— Może na widok ich pana? — zapytała księżniczka.

— Nie boję się ani zwierząt, ani ich pana. Nie znam ich wcale.

— Krótką ma pan pamięć — rzekł wtenczas Karakol. — Przecież pan siedział w głębokim dole razem z temi zwierzętami. Wyciągnąłem wtenczas pana.

— Pan wpadł do dołu? — zapytał baron.

— Nie pamiętam tego.

— Nie pamięta pan jak mi odrąbał głowę?

Nie odrąbałem. Najlepszym dowodem tego jest pan sam, żywy i z głową na szyji.

— Słusznie — potwierdził baron.

— Głowę mi nanowo przystawili. Mogę natychmiast przyprawić głowie olbrzyma brakujące jej części. Rozkazał by wynieśli głowę.

Baron kazał wnieść głowę olbrzyma.

XIV.

Czego brakuje głowie?—zapytał Karakol.—Pan najlepiej wie — zwrócił się do Bistekola, — zabiłeś przecież olbrzyma.

— Wybitego przezemnie lewego oka.

— A jeszcze czego?

— Jeszcze?...

— A tak. Brakuje jeszcze języka.

I Karakol wyjął chusteczkę z zawiniętym koniuszkiem języka.

— Pan mógł odciąć koniuszek języka po zabiciu olbrzyma przez seneszala.

— Ja zabiłem olbrzyma. Po zabiciu wszyscyśmy zasnęli, a seneszal odrąbał mi głowę i zabrał głowę olbrzyma. Zaraz dowiodę tego.

Karakol włożył korzeń życia do ust olbrzyma. Oko w głowie zaczęło mrugać. Głowa spokojnie popatrzyła na seneszala, a złością zabłysło oko na widok Karakola. Karakol wyjął korzeń z ust głowy.

— Widzicie teraz nienawiść olbrzyma do mnie. A komu córka pana oddała tę chusteczke?

— Zwycięzcy olbrzyma — odpowiedziała.

— A te korale?

— Zwierzętom.

— Pani przysięgła milczeć o tem wszystkiem! — zawołał seneszal.

— Nie powiedziałam też kto jest zwycięzcą.

— Pan zmusił księżniczkę do milczenia.

— Wyjdziesz za mąż za zwycięzcę — powiedział Baron. Tymczasem trzeba wymyśleć karę dla kłamcy i przestępcy,

XX.

W tym czasie na stole zjawiła się malutka wróżka. Siedziała w niebieskiej turkusowej muszli zaprzężonej w czwórkę dużych złotych żuczków. Muszlą powoził gruby trzmiel w czarnej liberji z czerwonemi i żółtemi pasami. Bicz miał zrobiony z kości świerszcza, na końcu kości była długa pajęczyna.

— Nie poznajesz mnie? — zapytała Karakola. Jestem królewną wróżek. Uratowałeś mnie z pajęczyny w lesie. Raz do roku każda wróżka musi w postaci jakiegoś zwierzątka przebyć w lesie cały dzień. Byłam wtenczas muchą. Teraz ci się odwdzięczę, a ukarać muszę przestępcę.

Wróżka dotknęła Karakola malutką złotą laską. W jednej chwili znikł garb Karakol stał się wysokim i ładnym młodzieńcem.

— Zobacz —zwrócił się baron do córki — twój narzeczony niema już garbu

— A czyż go miał kiedykolwiek — zapytała księżniczka. — Nigdy tego nie widziałam.

Tymczasem wróżka uderzyła laseczką seneszala Bistekola, a temu wyrósł drugi garb z przodu.

Po kilku dniach odbył się ślub Karakola. Na wesele był zaproszony i Firene Simolle. Baron Binsz prowadził pod rękę matkę Karakola.

W czasie uczty weselnej Karakol zwrócił się do Firene:

— Przyjacielu, zaśpiewaj mi, proszę.

I Firene zaśpiewał:

Ślimak, ślimak,
Pokaż rogi,
Dam Ci grosik,
Na pierogi.

KONIEC.

Spolszczył i przerobił
W. Bicz.